

Witold Karpyza

Z Kresów do Gorzowa

Nadwarciański Rocznik Historyczno-Archiwalny nr 12, 361-368

2005

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Witold Karpyza
Gorzów

Z Kresów do Gorzowa

Załadowane repatriantami platformy pociągu towarowego stały zbyt długo na stacji Wołkowysk Centralny. Wiązało się z tym uczucie lęku, zdenerwowania, niepewności. Pasażerowie wzajemnie się pocieszali lub niepokoiili. Co można, a czego nie można brać ze sobą? Nie wolno było podobno wieźć książek. A jeśli już ktoś wiozł coś zakazanego, to musiał wieźć i samogonkę. Był to pieniądz niezawodny.



Dom rodzinny autora (rys. Witold Karpyza)

Po dłuższym postoju, kłopotliwym załadunku, ciągłym przypominaniu sobie spraw nie załatwionych lokomotywa rubasznie szarpnęła wyładowanymi wagonami, a te sercami repatriantów. A serca te zapuściły korzenie mocno i głęboko w ziemię zwyczajną i niezbyt może urodziwą, ale swojską, która wyhodowała i wykarmiła całe pokolenia od wieków tutaj osiadłych Polaków. Lokomotywa, sapiąc z wysiłku, korzenie te rwała, wyciągała, przyspieszała, wreszcie nabrała pędu.

Wyrwała!

Zbliżaliśmy się do **Brzestowicy**. Tutaj miało być najgorsze. Granica.

Transport nasz pilotował **Kamiński**, były kierownik szkoły w Rosi, później za okupacji rządcą majątku Teolin, a ostatnio pełnomocnik okręgowy PKWN w Wołkowysku. On też załatwiał formalności z władzami granicznymi. Sprawdzono dokładnie tożsa-

mość osób, przeprowadzono pobieżnie rewizje i o zmroku pociąg ruszył dalej. Granicę przejechaliśmy nocą. O świcie byliśmy w Białymstoku, gdzie powitał nas ziąb i deprymująca pustka. Na rozległych torowiskach stacji towarowej stał tylko jeden wagon. Czyż aż tak wojna nas ogłociła?



Podróż koleją przesiedleńców na zachód. Od lewej: Bolesław Jeremicz, NN, Irena Ronczewska, Nowicka – matka, Nowicka – córka, Piotr Kreczko, Bronisława Karpyza – matka Witolda, Wacław Radziuk (nauczyciel); niżej: Nowicki i żona Jeremicza (ze zbiorów Muzeum Lubuskiego im. Jana Dekerta w Gorzowie)

W oczekiwaniu na podstawienie nowych wagonów, na które mieliśmy się przeladować (różnica szerokości torów), większość z nas udała się do miasta. Spotkała nas tutaj **Wandzia Grudzińska** z mężem. Wegetowali w małym, niewygodnym pokoiku. Olek całe popołudnie siedział nad książkami i mozolnie zdobywał maturę. Wkrótce podstawiono nowe wagony towarowe, a raczej platformy i rozpoczął się ponowny załadunek. Wagony miały już polskie oznakowania: PKP i białe orły bez korony. To nowe zaskoczenie. Nikt nie wiedział, dlaczego polskiego orła pozbawiono tej złotej ozdoby.

– Kogut! – warknęła mama.

Repatrianci teraz rozmieścili się nieco wygodniej. Humor się poprawił. Byli u siebie, na własnych śmieciach. Pietrek w tym końcu wagonu, który zajmowali Nowiccy, urządził przykryty kilimami kącik, coś w rodzaju grotty. Postawili tam ostanę i jechali do Polski niczym wagonem pierwszej klasy. Reszta skupiała się przy żelaznym piecyku, który ustawiono, pośrodku platformy. Piecyk był sercem wagonu – on nas grzał i karmił. Paliwo zdobywaliśmy różnie. Nic na drodze nie mogło się ostać zaradności repatriantów. Byli oni istną plagą mijanych pól i węglowych składów. Przy mijaniu innych transportów ogłaszano alert i repatrianci byli gotowi bronić swojego dobytku. Z tego też powodu nie było możliwości opuszczania wagonu i nie bardzo wiedzieliśmy, co porabiają i co planują znajomi jadący w innych wagonach. Bielizny, ubrań i kożuchów nigdy z pleców nie

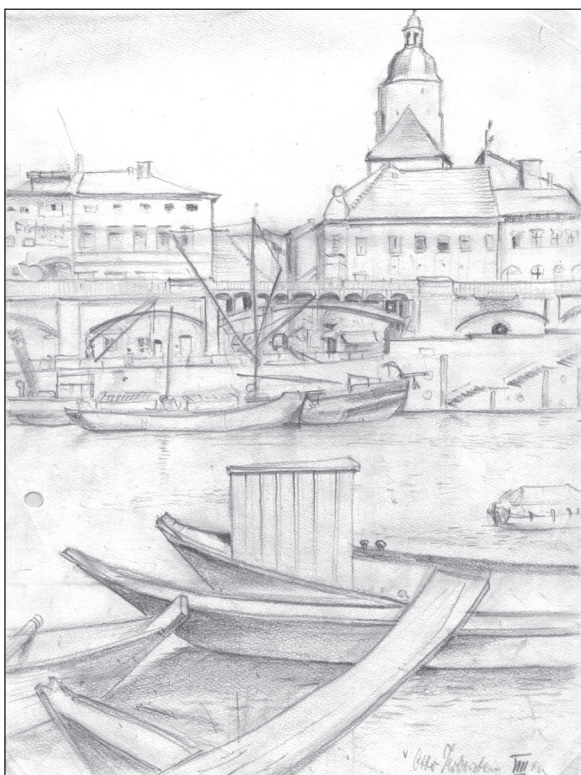
ściągałiśmy. Myliłiśmy się tylko symbolicznie. Noce spędzaliśmy na siedząco, dokładając gęsto węgla do rozpalonego na czerwono piecyka. Nad nami migotały gwiazdy i wiał zimny podmuch wzniesiony pędem pociągu.

Mijałiśmy urodziwą ziemię mazurską. Piękno szosy znaczone gorejącymi kolorami jesiennych drzew; wyglądały jak sznury koralu rzucone między pagórki i błękitne tafle jezior. Tu i ówdzie starczały kikuty wypalonych domostw. Czasem przed ocalałym domem bieliła się sterta wyrzuconych książek. Boże, książki! Chciało się pociąg zatrzymać, poszperać, ale szczęściem wagon hamulców ręcznych nie posiadał. Na horyzoncie ukazała się wieża olsztyńskiego zamku. Powiało romantyką, historią i Sienkiewiczem. Zanośliśmy na długi postój. Ruszyliśmy na rekonesans do miasta. Dotarliśmy tylko do jego skraju. Nikt przecież nie wiedział, kiedy pociąg odjedzie, a dobytku trzeba było pilnować. Odczepili wagon **Obuchowiczowej**, która jechała z synem. Oni tu pozostaną.

Jechaliśmy dalej jak gospodarze, stojąc na platformie na szeroko rozkraczonych nogach i piśszcztliwie oglądając ziemię naszą po latach wracającą do macierzy. Mijałiśmy Ostródę, Iławę, Wisłę, Toruń, Inowrocław, Gniezno. W Toruniu mama się ożywiła. Zaraz, zaraz, to już tutaj gdzieś Aleksandrów Kujawski, a obok Służewo Wodzińskich. Mama spędziła tam swego czasu parę miesięcy, jako panna na dworze kapryśnej hrabiny.

Dojeżdżaliśmy do Poznania. Tutaj trzeba już było ostatecznie decydować gdzie zapuścić zmęczone korzenie. Trzeba było uważać, aby nie trafić na ziemię jałową, niewdzięczną. Udaliśmy się z **Wackiem Radziukiem** do Kuratorium Okręgu Szkolnego mieszczącego się wówczas przy ulicy Mickiewicza. Oni się nie ceregielili. Wacek dostał skierowanie do Piły, a ja do Choszczna. Ki diabeł to Choszczno?

Transport zupełnie się rozleciał. **Bylewscy** pojechali do Sulęcina, **Jakimczykowie** do Sławy Śląskiej, a my do... Gorzowa. Zadecydował przypadek. Tym katalizatorem przyspieszającym nasz wybór był numer „Polski Zachodniej”, a raczej z zdobiący jej pierwszą stronę drzeworyt katedry gorzowskiej¹. Chciało się tam zamieszkać. Na kupionej na



Gorzów, lata 40., rys. Witold Karpyza

¹ Tygodnik, organ Polskiego Związku Zachodniego z dnia 23 IX 1945 (przyp. autora).

stacji mapie Polski nie odnaleźliśmy Gorzowa, chociaż zapewniano, że miasto to duże, bo i co by tam robiła katedra. Na mapie znaleźliśmy Kobylą Górę. A więc katedra i góra. Wspaniale! Pojechaliśmy.

Przed Santokiem zaczęło świtać. Z lewej strony towarzyszyła nam Noteć, później Warta, po prawej dość wyniosłe i urwiste wzgórza. Krajobraz gorzał jeszcze ciepłymi barwami jesieni. No i Gorzów. Miasto widoczne, jak na dłoni. Oby tylko było gdzie zamieszkać.

Pociąg odstawiono na boczny tor stacji towarowej. Ruszyliśmy torowiskiem w stronę dworca, a raczej jego kikutów. Po obu stronach szyn piętrzyły się garby ludzkiego łąjna. Od dawna tutaj nie sprzątano. Przed rumowiska zajęchał właśnie pociąg osobowy z Poznania. Nowe ludzkie mrowisko upstrzone tobołami załało gruzy. Chciałem zaprezentować się jak najlepiej. Podszedłem do obładowanej walizkami pani.

– Pozwoli pani, pomogę. – być może powiedziałem obywatelko. Obywatelka spojrzała podejrzliwie na moje nieco przykrótkie i szerokie, repatrianckie spodnie, na mój krawat i kołnierzyk koloru już naturalnego, założony jeszcze przy opuszczaniu Wołkowyska. Walizkę jednak dała. Pod czujną jej eskortą przedzieralem się przez tłum, który nas ostatecznie rozdzielił, na domiar złego, chcąc obejść gruzowiska, zboczyłem z trasy.

– Trzymaj! – wrzasnęła obywatelka. – Skradziono walizkę. Czerwony jak burak, tasczyłem walizkę do stóp rozhisteryzowanej właścicielki.

Na placu przed dworcem stał unieruchomiony tramwaj i leżały przewrócone dwa piętrowe trolejbusy. Miasto sprawiało wrażenie dodatnie. Rzeka, wiadukt, statki, wodociągi, tramwaje, wille, siedziba biskupa, resztki murów obronnych, romantyczna bryła katedry, przepyszne parki, wszędzie rzucające się w oczy plakaty „Zabawa pod Orłem!“. Skręciłem w lewo na ulicę Sikorskiego, wówczas Wandy Wasilewskiej i ciepły strumyczek krwi przyjemnie załaskotał w okolicy serca. Tuż przede mną stał niezamieszkały parterowy domek, kompletnie zrujnowany, bez drzwi i okien. Kłopot więc z głowy. To już lepsze jak odkryta platforma kolejowa. Ale wkrótce znaleźliśmy lepszy, willę przy ulicy Żelaznej. PUR przysłał konie i rozpoczęliśmy wyładunek. Pietrek z **Nowickim** zajęli skrzydło lewe, ja z mamą prawe. Wacek i **Jaremicz** zamieszkali na piętrze.



*Dom przy ul. Żelaznej – pierwsze mieszkanie rodziny Karpyzów w 1945 roku
(ze zbiorów Archiwum Państwowego Oddział w Gorzowie)*

Pierwszy spokojny sen w nowym mieszkaniu został brutalnie przerwany. Jakiś oficjał powiadomił nas, że willa jest zarezerwowana dla pracowników gazowni. Musieliśmy się wynosić i rozpoczęliśmy nowe poszukiwania, Wolnych mieszkań było wiele, ale prawie na każdym wisiała karta podająca imię i nazwisko lokatora i sakramentalne słowa: „Zajęte przez urząd mieszkaniowy”. Nikt jednak w tych mieszkaniach nie mieszkał. Działali tutaj ongiś szabrownicy, pozostawiając po sobie urzędowe ostrzeżenie i biało-czerwoną flagę.

Na takie mieszkanie natknęliśmy się przy ulicy Matejki 33. Zajmowało piętro czterorodzinnej kamienicy. Wahaliśmy się. Z dołu doszedł nas zachęcający głos lokatorki, jak się później okazało pani Skrzypczyńskiej, położnej.

– Śmiało. Prawdopodobnie nie wróci. Zabrał meble i wyjechał. Z pewnym wahaniem zdarliśmy kartkę i zajęliśmy z **Wackiem Radziukiem** mieszkanie. Pietrek z **Nowickimi** zamieszkał przy ulicy Żeromskiego. Nasze nowe mieszkanie składało się z trzech dużych pokoi, kuchni, łazienki, spiżarni, przedpokoju, piwnic i zdewastowanego garażu. Dom leżał na sklonie pagórka, w pewnym odosobnieniu. Z ulicy Matejki schodziło się długimi, betonowymi schodami w dół, gdzie w otoczeniu bżów, starego włoskiego orzecha i rozległego ogródka można było mieszkać bezpiecznie i wygodnie. Wewnątrz nie zastaliśmy żadnego sprzętu, wszystkie zamki były wyłamane, instalacje elektryczne uszkodzone, żyrandole zdjęte. Wacek zajął pokój narożny, my zaś z Renią zainstalowaliśmy się w pozostałych pokojach.

Podczas, gdy mama z Renią wzięły się za porządki, my z Wackiem udaliśmy się na miasto, nie tyle w poszukiwaniu pracy, ile gnani ciekawością nowego środowiska.

Miasto wiele ucierpiało od wojny. Zniszczenia sięgały 50%². Szczególnie ucierpiało śródmieście. Prawie wszystkie fabryki były zdewastowane, a urządzenia wywiezione³. Oba mosty na Warcie zerwane.

Gdy przybyliśmy do Gorzowa 8 października 1945 roku, miasto liczyło już około 18 tysięcy mieszkańców wobec 48 tysięcy w czasach przedwojennych. W tej liczbie mieściło się jeszcze około półtora tysiąca Niemców oraz parę setek cudzoziemców, przeważnie Włochów, którzy przymusowo byli zatrudniani przez hitlerowców w miejscowym prze-



Rodzina Karpyzów w domu przy ul. Matejki 33. Od lewej: Nowicka, B. Karpyzowa, J. Kreczko; stoją: Mirosława i Ryszard Ronczewscy (ze zbiorów Archiwum Państwowego Oddział w Gorzowie)

² W rzeczywistości były niższe: szacowano je na 35% (przyj. D. A. Rymar).

³ W większości wywiezione do ZSRR (przyj. D. A. Rymar).



1946: młodzież Gimnazjum i Liceum w przemarszu do kościoła
(ze zbiorów Archiwum Państwowego Oddział w Gorzowie)

myśle. W zniszczonych wojną ulicach⁴ jezdnie były już odgruzowane, czego nie można było powiedzieć o chodnikach. Sporo ulic blokowały barykady z prowizorycznie wbudowanymi bramami. Tam jeszcze stacjonowały oddziały wojskowe, a cywilom wstęp był surowo wzbroniony. (...)

W czasie mego przybycia do Gorzowa miasto miało już swój okres pionierski poza sobą. Komendantem wojskowym był pułkownik radziecki **Dragun**⁵, prezydent miasta **Piotr Wysocki**⁶, wiceprezydentem **Leon Kruszona**⁷. Repatriantom w Państwowym Urzędzie repatriacyjnym wydawano posiłki. Kursowały jeszcze bony, coś w rodzaju pieniądza tymczasowego wydanego przez Zarząd Miejski, gdyż pieniędzy było brak. Na targu bardzo barwnym i uczęszczanym, mieszczącym się wówczas przy ulicy Dzieci Wrześnińskich, można było dostać wszystko. Był to raczej handel wymienny. Niezawodnym pieniądzem była natomiast wódka. Za nią można było dostać wszystko. Specjalnego kolorytu miastu dodawały małe, ręczne, czterokołowe wózki. Każdy szanujący się

⁴ Większość zniszczeń w mieście została dokonana już po zajęciu miasta przez wojska radzieckie (miasto było zajęte właściwie bez większych walk).

⁵ Josif Michajłowicz Dragun, ur. 19 XI 1896 r. w Wilnie, w okresie II wojny oficer Armii Czerwonej od marca 1944 w składzie 69 Armii, komendant wojenny Gorzowa (II 1945 – II 1946), komendant garnizonu wrocławskiego (1946), później m. in. minister gospodarki komunalnej Białoruskiej SRR (D. A. R y m a r, *Pułkownik Dragun*, NRHA 1999 nr 6 t. 2, s. 115-124).

⁶ Piotr Wysocki (1898-1985), prezydent Gorzowa w latach 1945-1947 (obszerny biogram zob. W. J. C i e s i i e l s k i, *Piotr Wysocki pierwszy prezydent miasta Gorzowa Wielkopolskiego*, Ziemia Gorzowska 1977, styczeń, s. 29 n.).

⁷ Leon Kruszona, (1909-1990), w latach 1945-1949 wiceprezydent Gorzowa (zob. Z. N o w a k o w s k a, *Leon Kruszona – wiceprezydent Gorzowa od 10 IV 1945 do 31 I 1949*, NRHA nr 2 1995, s. 182-186).

mieszkaniec Gorzowa wózek taki musiał obowiązkowo posiadać. Komunikacja miejska wówczas nie istniała. Takim wózkiem jeździło się po zakupy, po węgiel, po meble i po najmniejszy drobiazg. Całe miasto przez kilka miesięcy tonęło we flagach. Była to pozostałość po zarządzeniu pułkownika **Draguna**, który zaraz po zajęciu Gorzowa polecił, by mieszkańcy obowiązkowo wywiesili flagi, które by świadczyły o ich narodowości. I tak białe wywieszali Niemcy, jako znak poddania się, czerwone – niemieccy komuniści, biało-czerwone – Polacy. Ponieważ w czasie wojny w Gorzowie zamieszkiwało na robotach przymusowych sporo cudzoziemców, więc obok flag polskich powiewały liczne flagi włoskie, francuskie i inne. Dopiero w roku 1946 zdjęcie tych flag zarządził prezydent **Wysocki**. Widywano go często na ulicy, zawsze elegancko ubranego, w zielonym kapelusiku i nieraz wczesnym rankiem... gaszącego lampy gazowe na ulicy. Oszczędny był. (...)

W dniu mego przyjazdu, w dniu 28 października, w tutejszej katedrze odbył się uroczysty ingres biskupa dra **Edmunda Nowickiego**⁸ – byłego więźnia Dachau i Gusen. W kilka lat później otrzymał nominację na biskupstwo w Gdańsku, gdzie też zmarł. Nieco obszerniej o tej osobie wspomnę później, gdyż znałem go osobiście i razy parę gościł mnie u siebie na herbatce. Na wspomnianej wyżej uroczystości spotkałem w kościele **Chodaczyńskich** i moich uczniów: Rajmusa i Józia. Nazajutrz wczesnym rankiem, gdy się goliłem, do drzwi delikatnie zapukano. To była **Marysia Zielonkówna**, siostrzenica **Chodaczyńskich**, rozkoszny podłotek i to zarówno pod względem charakteru, jak i urody. W imieniu **Chodoczyńskich** zapraszała do złożenia wizyty w Chruściku, gdzie się osiedlili. Serce zabiło mocno.

W parę dni później, gdy z nieodłącznym wózkiem zjeżdżałem z wysoko położonej ulicy Matejki, spotkałem podobne indywiduum z nieodłącznym wózkiem, w pozbawionej insygniów niemieckiej kurtce, z rozwiczrzoną czupryną i o zdziwionym wejrzeniu.

– Nu?

– Nu.

– Ziemiak?

– Ziemiak.

Był to **Boleś Jeremicz**⁹, były podinspektor z Wołkowyska. W Gorzowie już się zadowił. Pracował jako nauczyciel geografii w Miejskim Gimnazjum i Liceum. Ucieszył się.

– Z nieba mi spadłeś. Pracujesz gdzie?

– Nie.

– Świetnie. W gimnazjum poszukują nauczyciela rysunków. Radzę się zgłosić. Zaprowadzę cię do dyrektora.

⁸ Ks. Edmund Nowicki (1900-1971), w latach 1945-1951 administrator apostolski Administracji Apostolskiej Kamieńskiej, Lubuskiej i Prałatury Pilskiej, konsekrowany na biskupa w 1954 r.; w latach 1956-1971 biskup gdański (Zob. bp P. S o c h a, *Sylwetki administratorów apostolskich i biskupów diecezji zielonogórsko-gorzowskiej*, NRHA 1998 nr 5, s. 336-344).

⁹ Bolesław Jeremicz, ur. w 1897 r. w Dubowie pow. Wołkowysk. W roku 1917 aresztowany przez Niemców za potajemne nauczania języka polskiego. W 1918 r. brał udział w rozbrajaniu wojsk niemieckich; w latach 1919-1922 służył w Wojsku Polskim, w latach 1922-1939 nauczyciel w szkołach podstawowych; 1939-1941 dyrektor szkoły w Wiszniewie (pod okupacją radziecką), 1941-1944 praca przymusowa na kolei w Wołkowysku, 1944-1945 inspektor szkolny pow. Wołkowysk (po powrocie władz ZSRR); 1 X 1945 – 31 VIII 1946 nauczyciel w Gimnazjum i Liceum w Gorzowie, 1 IX 1947 – 1 IX 1951 – kierownik Szkoły Podstawowej nr 5, w 1950 r. członek MRN w Gorzowie.

Dyrektorem Gimnazjum, jak również Miejskich Kuksów Maturalnych był prof. **Tadeusz Głogowski**¹⁰. Tytuł profesora posiadał jeszcze z czasów międzywojennych. Zawsze też tym tytułem na pismach urzędowych się podpisywał. Było późne popołudnie i przy ulicy Wandy Wasilewskiej 110 odbywały się zajęcia na Kursach Maturalnych. Postawiłem wózek niczym Ghandi kozę przed parlamentem indyjskim i weszliśmy do środka.

Pomieszczenie nie było dostosowane do wykładów. Zwykle mieszkalne pokoiki. Parę krzesełek i stołów. Ponieważ jeden pokój nie mógł pomieścić więcej jak 15 osób, profesorowie, wykładali, stojąc we drzwiach łączących dwa sąsiednie pomieszczenia. W ten sposób mogli być słyszani w obu pokojach. Dyrektor nie miał też gabinetu. Przyjął mnie na korytarzu. Był to człowiek średniego wzrostu, inteligentny, o wielkim uroku osobistym. Na szczęście wiele już słyszał o ROW Liceum Krzemienieckiego i zaangażował mnie z miejsca.

Pracę miałem rozpocząć natychmiast. Jakoż dnia 2 listopada 1945 roku stanąłem na progu budynku szkolnego przy ulicy Przemysłowej. Budynek należał do szkoły podstawowej, a Gimnazjum i Liceum zajmowało tam kilka pomieszczeń. Napływ młodzieży do szkoły był duży, tak, że od razu zorganizowano klasy I, II, III, IV gimnazjum oraz I i II liceum. Otrzymałem wychowawstwo klasy IV. (...)

¹⁰ Tadeusz Głogowski, przed wojną nauczyciel Państwowego Gimnazjum i Liceum im. Jana Kantego w Poznaniu, nauczyciel jęz. niemieckiego. Dyrektorem gorzowskiego Gimnazjum i Liceum był w latach 1945-1948 (zob. *Liceum Ogólnokształcące im. T. Kościuszki w Gorzowie Wlkp.*, Gorzów 1995).